

Philip K. Dick

Czysta Gra

(Fair Game)

Profesor Anthony Douglas z ulgą opadł na obity czerwoną skórą fotel i westchnął. Głębokiemu westchnieniu towarzyszyło mozolne zdejmowanie butów przy wtórze licznych stęknęć poprzedzających rzucenie ich w ką. Splótłszy ręce na okazałym brzuchu, mężczyzna z przymkniętymi oczami odchylił się do tyłu?

- Zmęczony? - zapytała Laura Douglas, odwracając się na chwilę od kuchennego pieca ze współczuciem w ciemnych oczach.

- Żebyś wiedziała. - Douglas popatrzył na leżącą na tapczanie wieczorną gazetę i stwierdził, że szkoda zachodu. Poszperał w kieszeni w poszukiwaniu papierosów i zapalił jednego leniwie. - Jeszcze jak zmęczony. Rozpoczynamy całkiem nowy kierunek badań. Dzisiaj zjawilo się stadko młodych inteligentów z Waszyngtonu, uzbrojonych w teczki i suwaki logarytmiczne.

- Czy oni...

- Ach, w dalszym ciągu nad wszystkim panuję. - Profesor Douglas uśmiechnął się szeroko. - Nie zaprzataj sobie tym głowy. - Osnuł go jasnoszary obłok dymu. - Upłynie kolejnych parę lat, nim zdołają mnie prześcignąć. Będą musieli jeszcze trochę naostrzyć swoje przyrządy...

Żona z uśmiechem wróciła do szykowania kolacji. Być może wpływała na to atmosfera małego miasteczka w Kolorado. Wzniosłe, nieruchome góry wokół nich, lodowate, rozrzedzone powietrze i spokojni mieszkańcy. Tak czy inaczej, jej mąż wydawał się obojętny na wszelkiego rodzaju napięcia i niepokoje nękające środowisko jego profesji. Szeregi przedstawicieli fizyki jądrowej zasilali stały dopływ agresywnych nowicjuszy. Stara gwardia chwiała się na swoich pozycjach, ogarnięta nagłym poczuciem zagrożenia. Na każdej uczelni, każdym wydziale fizyki pojawiał się zespół młodej, utalentowanej kadry. Nawet w tutejszym Bryant College, odległym od głównego nurtu wydarzeń.

Lecz nawet jeśli Anthony'emu Douglasowi leżało to na sercu, nigdy nie dał niczego po sobie poznać. Beztrąsko odpoczywał w fotelu, z zamkniętymi oczami i błogim uśmiechem na twarzy. Był zmęczony, ale spokojny. Ponownie westchnął, bardziej jednak z zadowoleniem niż z troską.

- Prawdę mówiąc - wymamrotał leniwie - mogliby być moimi dziećmi, ale w gruncie rzeczy przerastam ich o głowę. Rzecz jasna, miałem okazję gruntownie zgłębić tajniki zawodu.

- I stosunków, do których w razie potrzeby można się odwołać.

- To również. Tak czy inaczej, chyba odłączę się od prowadzonego obecnie...

Nie dokończył zdania.

- Co się stało? - zapytała Laura.

Douglas na wpół uniósł się z fotela. Jego twarz zbieleła jak ściana. Ze zgrozą utkwiał przed siebie wzrok i kurczowo przytrzymując się fotela, na przemian otwierał i zamykał usta.

W oknie tkwiło oko. Zajrzało w głąb pokoju i popatrzyło na niego uważnie. Wypełniało całe okno.

- Chryste! - wykrzyknął.

Oko się wycofało. Za oknem widać było jedynie pograżone w wieczornym półmroku wzgórza, drzewa i ulicę. Douglas powoli opadł na fotel.

- Co to miało znaczyć? - zapytała ostro Laura. - Co tam widziałeś? Czy ktoś tam był?

Douglas zaciskał i rozwierał dłonie. Usta wykrzywił mu mimowolny grymas.

- Mówię prawdę, Bill. Widziałem je na własne oczy. Było jak najprawdziwsze. Inaczej przecież nie gadałbym bzdur, dobrze wiesz. Nie wierzysz mi?

- Czy ktokolwiek jeszcze je dojrzał? - zapytał profesor William Henderson, z namysłem gryząc koniec ołówka. Odsunął na bok przygotowany do kolacji talerz i położył przed sobą notatnik. - Czy Laura je widziała?

- Nie. Stała odwrócona plecami.

- Kiedy to się stało?

- Pół godziny temu. Właśnie wróciłem do domu. Było około wpół do siódmej. Zdjąłem buty, usiadłem w fotelu. - Douglas drżącą ręką otarł czoło.

- Twierdzisz, że stanowiło niezależny element? Poza nim nie było nic więcej? Tylko samo... oko?

- Tylko oko. Jedno wpatrzone we mnie ogromne oko. Rejestrujące każdy szczegół. Jak gdyby...

- Jak gdyby co?

- Jak gdyby spoglądało w mikroskop.

Cisza.

Głos zabrała siedząca po drugiej stronie stołu rudowłosa żona Hendersona.

- Zawsze byłeś empirystą, Doug. Nie dawałeś się złapać na żadne bzdury. Ale to... Szkoda, że nikt więcej tego nie widział.

- Oczywiście, że nikt więcej tego nie widział!

- Co masz na myśli?

- To monstrum patrzyło na mnie. To ja zostałem poddany oględzinom. - Douglas histerycznie podniósł głos. - Myślicie, że jak się czuję - oglądany przez oko wielkie jak fortepian! Boże, gdybym nie był taki opanowany, to chyba bym się załamał!

Henderson i jego żona wymienili spojrzenia. Przystojny, ciemnowłosy Bill, o dziesięć lat młodszy od Douglasa. Żywiołowa Jean Henderson, wykładowca psychologii dziecięcej, o falującym pod nylonową bluzką bujnym biuście.

- Co o tym sądzisz? - zapytał ją Bill. - To bliżej twojej działki.

- Właśnie że twojej - rzucił Douglas. - Nie próbuj spychać tego do rangi patologicznych omamów. Przyszedłem do ciebie, ponieważ jesteś głową wydziału biologii.

- Myślisz, że to było zwierzę? Coś w rodzaju gigantycznego leniwca?

- To musiało być zwierzę.

- A może to po prostu kawał - podsunęła Jean. - Albo plansza reklamowa jakiegoś okulisty. Ktoś mógł przynieść ją pod oknem.

Douglas opanował się wysiłkiem woli.

- Ono żyło. Patrzyło na mnie. Obejrzało mnie od stóp do głów, po czym znikło. Tak jakby odsunęło się od soczewek mikroskopu. - Zadrżał.

- Przecież mówię wam, byłem obserwowany!

- Tylko ty?

- Ja. Nikt inny.

- Jesteś święcie przekonany, że spoglądało na ciebie z góry - powiedziała Jean.

- Tak, z góry. Prosto na mnie. Zgadza się. - Przez twarz Douglasa przemknął dziwny wyraz. - Dobrze to ujęłaś, Jean. Pochodziło stamtąd. - Machnął do góry ręką.

- Może to Bóg - rzucił w zamyśleniu Bill Douglas nie odpowiedział. Jego twarz przybrała

barwę popiołu. Zaszczękał zębami.

- Bzdura - zaoponowała Jean. - Bóg jest psychologicznym symbolem transcendentálním wyrażającym nieświadome moce.

- Czy spoglądało na ciebie oskarżycielsko? - dopytywał się Bill. - Tak jakbyś zrobił coś złego?

- Nie. Raczej z ciekawością. Wyrażną ciekawością. - Douglas wstał. - Na mnie już czas. Laura uważa, że dostałem jakiegoś ataku. Nic jej nie powiedziałem, rzecz jasna. Brakuje jej dyscypliny naukowej. Nie poradziłyby sobie z podobnym zagadnieniem.

- I nam przysparza ono pewnych trudności - dorzucił Bill.

Douglas nerwowo ruszył w kierunku drzwi.

- Nie przychodzi ci do głowy żadne wytłumaczenie? Na przykład stworzenie dawno uznane za wymarłe, do tej pory szwendające się po okolicy?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Gdybym o czymś usłyszał...

- Powiedziałaś, że spoglądało w dół - przerwała Jean - a nie pochylało się, by rzucić na ciebie okiem. Zatem żadne zwierzę bądź inne ziemskie stworzenie nie wchodzi w rachubę. -

Zastanowiła się głęboko. - Może jesteśmy obserwowani.

- Wy nie - wtrącił żałośnie Douglas. - Tylko ja.

- Przez przedstawicieli innego gatunku - dorzucił Bill. - Sądziś, że...

- Może to oko z Marsa.

Douglas ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Noc była czarna. Lekki wiatr poruszył drzewami i pomknął dalej ulicą. Na tle wzgórz rysował się niewyraźny, kwadratowy zarys jego samochodu.

- Jeżeli przyjdzie wam coś do głowy, dajcie mi znać.

- Przed pójściem spać zażyj kilka pastylek nasennych - poradziła mu Jean. - I weź się w garść. Douglas wyszedł na ganek.

- Dobry pomysł. Dziękuję. - Potrząsnął głową. - Może jednak zwariowałem. Chryste. Cóż, do zobaczenia.

Zszedł po schodach, kurczowo ściskając poręcz.

- Dobranoc! - zawołał Bill. Zamknięto drzwi i lampa oświetlająca ganek zgasła.

Douglas czujnie ruszył w stronę samochodu. Wyciągnął rękę, po omacku szukając klamki.

Jeden krok. Dwa kroki. Cóż za nonsens. Dorosły mężczyzna, właściwie w sile wieku, u schyłku drugiego tysiąclecia.

Trzy kroki.

Otworzył drzwi i wślizgnął się do środka, blokując zamek. Odmówił cichą modlitwę dziękczynną, po czym uruchomił silnik i włączył światła. Co za głupota. Gigantyczne oko. Zwyczajny kawał, ot co. Starannie rozważył wszystko w myślach. Studenci? Żartownisie? Komuniści? Spisek, mający na celu wytrącenie go z równowagi? Był ważną osobistością. Kto wie, może nawet najznamienitszym fizykiem jądrowym w kraju. A ten nowy projekt...

Powoli wjechał na pogrążoną w ciszy jezdnię. Kiedy samochód nabierał prędkości, bacznie lustrował każdy krzak i drzewo. Spisek komunistyczny. Część studentów należała do lewicowego ugrupowania. Coś w rodzaju marksistowskiego zgromadzenia badawczego. Może to ich sprawka...

Może to ich sprawka...

Coś załśniło w świetle reflektorów. Blask dochodził z pobocza jezdni.

Zbity z tropu Douglas popatrzył w tamtym kierunku. Wśród chwastów, u stóp drzew spoczywał podłużny, prostokątny przedmiot. Migotał i lśnił. Douglas zmniejszył prędkość, ile tylko mógł.

Na skraju drogi leżała sztabka złota.

Coś niesamowitego. Profesor Douglas powoli opuścił szybę i wyjrzał. Czy to rzeczywiście złoto? Zaśmiał się nerwowo. Na pewno nie.

Naturalnie często widywał złoto. To wyglądało jak złoto. Lecz może było zwykłą, pozłacaną

sztabą ołowiu.

Ale... dlaczego?

Żart. Psota studentów college'u. Musieli zobaczyć, jak jego samochód zmierza w kierunku domu Hendersonów, i wiedzieli, że wkrótce będzie wracał tą samą drogą.

Albo... albo naprawdę to złoto. Być może przejeżdżał tędy strzeżony samochód. Zbyt gwałtownie wszedł w zakręt, w wyniku czego sztaba ześlizgnęła się i upadła w zarośla. W takim razie na pograżonym w ciemności poboczu szosy spoczywała wcale pokaźna fortunka. Jednakże posiadanie złota było nielegalne. Musiałby zwrócić je rządowi. Ale czy nie mógłby odpiłować sobie choćby kawałeczka? Poza tym, gdyby je oddał, bez wątplenia otrzymałby jakąś nagrodę. Może kilka tysięcy dolarów.

Przez głowę przemknął mu szalony plan. Zabrać sztabę, ukryć ją, polecieć do Meksyku, poza granicę państwa. Eric Barnes był właścicielem Klubu Kobziarza. Bez trudu dostałby się do Meksyku i sprzedał złoto.

Przeszedłby na emeryturę i w spokoju spędził resztę życia. Profesor Douglas prychnął ze złością. Jego obowiązkiem było oddać sztabę. Zadzwoić do mennicy w Denver i powiadomić ich o znalezisku. Albo zgłosić je na policję. Wrzucił wsteczny bieg i cofnął samochód, aż wreszcie zrównał się ze sztabą. Wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Miał zadanie do spełnienia. Jako lojalny obywatel, a - Bóg mu świadkiem - pięćdziesiąt testów wykazało, że był lojalny, musiał je wykonać. Zajrzał z powrotem do samochodu i pogrzał w skrytce w poszukiwaniu latarki.

Skoro ktoś zgubił sztabę złota, od niego zależało, czy...

Sztabę złota. Istne nieprawdopodobieństwo. Przejął go dreszcz, ogarniając mu serce lodowatym chłodem. W jego umyśle zadźwięczał wyraźny, racjonalny głos: Kto przepuściłby taką okazję?

Coś tutaj było nie tak.

Owładnął nim lęk. Stał jak wrośnięty w ziemię, trzęsąc się ze strachu. Mroczna, wyludniona ulica. Pograżone w ciszy góry. Był sam. Jak na dłoni. Gdyby chcieli go dostać...

Oni?

Kto?

Rozejrzał się dokoła. Najpewniej chowają się za drzewami. Czekają na niego. Czekają, aż przekroczy ulicę, zejdzie na pobocze i wkroczy do lasu. Pochylił się, chcąc podnieść sztabę. Jeden pospieszny cios od tyłu dokończy sprawę.

Douglas wsiadł do samochodu i zapuścił silnik. Zwiększył obroty i zwolnił hamulec.

Samochód skoczył do przodu i nabrał szybkości. Z roztrzęsionymi rękami Douglas pochylił się nad kierownicą. Musi uciec. Uciec - nim go dopadną, kimkolwiek byli.

Gdy dojeżdżał do autostrady, jeszcze raz wyjrzał przez otwarte okno i popatrzył za siebie.

Sztaba wciąż tam tkwiła, pomiędzy zarośli na zaciemnionym skraju pobocza nadal docierał jej niezmienny blask.

Jednakże cechowała ją osobliwa mglistość, jak gdyby została otoczona warstwą rozedrganego powietrza. Naraz sztaba zbladła i znikła. Jej blask rozplątał się w ciemności. Podniósłszy głowę, Douglas ze zgrozą chwycił powietrze w płuca. Widoczne na nieboskłonie gwiazdy zniknęły przysłonięte ogromnym kształtem, którego rozmiary zaparły mu dech w piersi. Kształt poruszył się, pozbawiony rdzenia zwiastun czyjejś obecności tuż nad jego głową.

Była to twarz. Gigantyczna twarz, ze spojrzeniem utkwionym w dół. Niczym ogromny księżyc, przysłaniający sobą wszystko inne. Skierowana ku niemu - ku miejscu, które dopiero opuścił - twarz zamarała na chwilę, po czym rozplątała się w mroku w ślad za sztabą złota.

Gwiazdy wróciły na swoje miejsce. Ponownie został sam.

Douglas wcisnął się w fotel. Samochód z obłąkańczą prędkością mknął po autostradzie.

Dłonie ześlizgnęły mu się z kierownicy i bezsilnie opadły na dół. Opamiętał się w samą porę i chwycił za kierownicę. Ostatnie wątpliwości rozwiały się bezpowrotnie. Ktoś zastawiał na

niego sidła. Lecz nie byli to komuniści, studenci czy zwykli kawalarze. Ani bestia stanowiąca relikw zamierzchłej przeszłości. Cokolwiek... ktokolwiek to był, nie pochodził z Ziemi, ale z innego świata. Przybył tutaj, aby go schwytać. Właśnie jego. Tylko... dlaczego?

Pete Berg słuchał uważnie.

- Mów dalej - powiedział, kiedy Douglas umilkł.
- To cała historia. - Douglas popatrzył na Billa Hendersona. - Nie próbuj mi wmawiać, że zwariowałem. Naprawdę ją widziałem. Spoglądała prosto na mnie. Tym razem cała twarz, nie tylko jedno oko.
- Sądzisz, że to twarz, do której należało tamto oko? - zapytała Jean Henderson.
- Jestem o tym przekonany. Twarz miała ten sam badawczy wyraz co oko.
- Musimy zawiadomić policję - powiedziała cicho Laura Douglas. - To nie może dalej trwać. Jeżeli ktoś zawziął się, aby go schwytać...
- Policja nic tu nie wskóra. - Bill Henderson spacerował tam i z powrotem. Było późno, minęła północ. W domu Douglasów paliły się wszystkie światła. W rogu, bacznie nadstawiając uszu, siedział stary Milton Erick, głowa wydziału matematycznego, z pozbawioną wyrazu pomarszczoną twarzą.
- Możemy założyć - wtrącił spokojnie profesor Erick, wyciągając z poźółkłych zębów swoją fajkę - że stanowią rasę pozaziemską. Ich rozmiary i położenie dowodzą, że nie są w żadnym stopniu związani z Ziemią.
- Ależ oni nie mogą tak po prostu stać sobie na niebie! - wybuchnęła Jean. - Przecież nic tam nie ma!
- W grę wchodzi prawdopodobieństwo istnienia skupisk materii niepołączonej bądź niezwiązanej z naszą. Nieskończonej lub wielokrotnej koegzystencji układów, leżących na płaszczyźnie współczynników całkowicie niewytłumaczalnych w naszych warunkach. Dzięki jakiemuś pojedynczemu zestawieniu stycznych, mamy obecnie do czynienia z jedną z owych pozostałych konfiguracji.
- On ma na myśli - pospieszył z wyjaśnieniem Bill Henderson - że ci, którym zależy na schwytaniu Douga, nie należą do naszego wszechświata. Pochodzą z zupełnie innego wymiaru.
- Twarz zafalowała - wymamrotał Douglas. - Twarz i złoto zafalowały i znikły.
- Wycofały się - uściślił Erick. - Powróciły do swojego układu. Dysponują przejściem, czymś w rodzaju szczeliny, która umożliwia im dowolne przechodzenie na naszą stronę oraz powrót.
- Szkoda - wtrąciła Jean - że są tak cholernie ogromni. Gdyby byli mniejsi...
- Rozmiar gra na ich korzyść - przyznał Erick. - To rzeczywiście niefortunna okoliczność.
- Dajcie spokój tym uczonym wywodom! - krzyknęła Laura. - Siedzimy tu, wymyślając teorie, a tymczasem oni na niego polują!
- To wyjaśniałoby kwestię bóstw - powiedział nagle Bill.
- Bóstw?

Bill kiwnął głową.

- Nie rozumiecie? W przeszłości te istoty zaglądały w głąb naszego wszechświata. Może nawet składały nam wizytę. Prymitywne ludy zauważały ich obecność, lecz nie potrafiły jej wyjaśnić, toteż stworzyły związane z nimi religie. Oddawały im cześć.

- Góra Olimp - rzekła Jean. - Ależ tak. Mojżesz spotkał Boga na szczycie góry Synaj. My znajdujemy się wysoko w Górach Skalistych.

Kto wie, może kontakt następuje jedynie w wyżej położonych regionach.

Na przykład w takich górach jak nasze.

- Mnisi tybetańscy zamieszkują najwyższe tereny na świecie - dorzucił Bill. - Jego najwyższą

i najstarszą część. Wszystkie wielkie religie objawiły się w górach. Zostały sprowadzone przez ludzi, którzy widzieli Boga i znieśli na dół Słowo.

- Nie rozumiem jedynie - wtrąciła Laura - dlaczego zależy im właśnie na nim. - Bezradnie rozłożyła ręce. - Dlaczego nie zainteresują się kimś innym? Dlaczego musieli wybrać właśnie jego?

Rysy Billa stwardniały.

- To chyba dosyć jasne.

- Wy tłumacz to więc - mruknął Erick.

- Kim jest Doug? To najwybitniejszy fizyk jądrowy na świecie. Bierze udział w ściśle tajnych, zaawansowanych badaniach nad rozszczepieniem atomu. Rząd podpisuje się pod wszelką działalnością Bryant College jedynie z uwagi na udział Douglasa.

-No i?

- Zależy im na nim ze względu na jego umiejętności. On się zna na rzeczy. Dzięki swoim rozmiarom mogą poddać nas tak gruntownym oględzinom, jakim my poddajemy w swoich laboratoriach kulturę, dajmy na to, *Sarcina pulmonum*. Nie znaczy to jednak, że znajdują się w stadium cywilizacyjnym bardziej zaawansowanym niż my.

- No jasne! - wykrzyknął Pete Berg. - Chcą Douga ze względu na jego wiedzę. Chcą go porwać i wykorzystać na użytek własnej cywilizacji.

- Pasożyty! - rzuciła Jean. - Pewnie zawsze rozwijali się naszym kosztem. Nie rozumiecie? W przeszłości ludzie ginęli, wysysani przez te kreatury. - Zadrzała. - Pewnie traktują nas jako coś w rodzaju poligonu, gdzie dla ich korzyści z trudem zdobywa się doświadczenia i wiedzę. Douglas bezskutecznie usiłował odpowiedzieć. Siedział sztywno na krześle, z przechyloną na bok głową. Na zewnątrz, w otaczającej dom ciemności, coś wołało jego imię. Wstał i skierował się ku drzwiom. Wszyscy zwrócili na niego zdumione spojrzenia.

- Co się stało? - zapytał Bill. - O co chodzi, Doug?

Laura chwyciła go za rękę.

- Czy coś się stało? Żle się czujesz? Powiedz coś! Doug!

Profesor Douglas wyszarpnął rękę i otworzył frontowe drzwi. Wyszedł na ganek. Z góry wyjrzał ku niemu bladą księżyc. Wszystko opromieniała łagodna poświata.

- Profesorze Douglas! - Ponownie dał się słyszeć świeży, dziewczęcy głos.

U stóp wiodących na ganek schodów, oświetlona blaskiem księżycy stała dziewczyna.

Jasnowłosa, mniej więcej dwudziestoletnia. Miała na sobie spódnice w kratkę, jasny sweterek z angory i jedwabną apaszkę. Z lękiem kiwała nań ręką, z błagalnym wyrazem na drobnej twarzy.

- Profesorze, czy ma pan chwilę czasu? Coś złego stało się z... - Jej głos przycichł, kiedy nerwowo odstepiła od domu, wtapiając się w mrok.

- Co się stało? - krzyknął.

Cichnący głos dziewczyny wskazywał, że oddalała się od domu.

Douglas wahał się przez chwilę, po czym niecierpliwie ruszył w jej ślady. Szła przed nim, załamując ręce i rozpaczliwie krzywiąc pełne wargi. Sweter na jej piersiach falował, unoszony spazmatycznym oddechem.

- O co chodzi? - zawołał Douglas. - Co się stało? - Ze złością spieszył za nią. - Na miłość boską, proszę stanąć!

Dziewczyna ustawicznie oddalała się od niego, odciągając go coraz bardziej od domu w kierunku rozległej, zielonej płachy trawnika, wyznaczającej początek miasteczka uniwersyteckiego. Douglas poczuł przyływ niepoohamowanej irytacji. A niechże ją licha! Dlaczego nie mogła na niego poczekać?

- Proszę się zatrzymać! - krzyknął, biegnąc za nią. Zdyszany ze zmęczenia wszedł na trawnik.

- Kim pani jest? Co pani do cholery...

Błysk. Promień oślepiającego światła przemknął obok niego, wypalając w odległości kilku

stóp dziurę w trawniku.

Douglas stanął jak wryty. Drugie uderzenie nastąpiło tuż na wprost niego. Fala gorąca odrzuciła go w tył. Potknął się i prawie upadł.

Dziewczyna znieruchomiała raptownie, z twarzą pozbawioną wyrazu. Stała w miejscu na podobieństwo figury woskowej.

Jednakże nie miał czasu zaprzętać sobie tym głowy. Odwrócił się i popędził z powrotem w kierunku domu. Walnęło tuż przed nim. Skreślił w prawo i rzucił się w rosnące u stóp muru zarośla. Zziębnięty przywarł ze wszystkich sił do betonowej ściany domu. Rozgwieżdżone niebo nad nim zamigotało. Następnie zapadła cisza.

Został sam. Uderzenia ustały. I...

Dziewczyna również zniknęła.

Przynęta. Sprytna imitacja, mająca na celu wyprowadzić go z dala od domu, na otwartą przestrzeń, gdzie stanowił łatwy cel.

Chwiejnie wstał i okrążył dom. Bill Henderson, Laura i Berg znajdowali się na ganku, rozprawiając nerwowo i rozglądając się wokół. Na podjeździe stał jego samochód. Gdyby zdołał do niego dotrzeć...

Popatrzył na niebo. Dostrzegł jedynie gwiazdy. Po tamtych nie zostało ani śladu. Gdyby zdołał dotrzeć do samochodu i odjechać autostradą z dala od gór, w kierunku Denver, na niższej położone tereny, może przestałoby mu zagrażać niebezpieczeństwo.

Chwycił głęboki oddech. Od samochodu dzieliło go zaledwie dziesięć jardów. Trzydzieści stóp. Jak tylko się przy nim znajdzie...

Rzucił się przed siebie. Biegiem przebył ścieżkę i ruszył wzdłuż podjazdu. Szarpnięciem otworzył drzwiczki i wskoczył do środka. Szybko zwolnił hamulec. Samochód potoczył się po podjeździe. Silnik się zakrzuszył. Douglas desperacko dodał gazu. Wóz skoczył do przodu. Stojąca na ganku Laura krzyknęła i zaczęła zbiegać po schodach. Jej krzyki i zdumione wołanie Billa zginęły w ryku silnika.

Chwilę potem wjechał na autostradę i długą, krętą drogą pomknął w kierunku Denver.

Zatelefonuje do Laury z Denver. Będzie mogła do niego dołączyć. Pojechaliby pociągiem na wschód. Do diabła z Bryant College. Nad jego życiem zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jechał nocą bez wytchnienia, nie zatrzymując się ani na chwilę. Słońce wstało i powoli wędrowało po niebie. Na ulicy pojawiło się więcej samochodów. Wyminął kilka z wolna podążających przed siebie ciężarówek. Odczuł nieznaczną poprawę samopoczucia. Góry zostały daleko w tyle. Dzieląca go od nich odległość zwiększała się coraz bardziej...

W miarę upływu czasu czuł, jak wraca mu nadzieja. W całym kraju rozsianych było setki uniwersytetów i pracowni. Bez trudu podejmie swoją pracę w jakimkolwiek innym miejscu.

Jak tylko wydostanie się poza obręb gór, nigdy go nie dostaną.

Zwolnił. Wskaźnik poziomu paliwa opadł prawie do zera.

Po prawej stronie dostrzegł stację benzynową i niedużą przydrożną kawiarenkę. Widok tej ostatniej przypomniał mu, że nie jadł śniadania. Żołądek zaczynał dopominać się o swoje prawa. Przed kawiarenką zaparkowanych było kilka pojazdów. Przy kontuarze siedziało kilkoro ludzi.

Zboczył z autostrady i zajechał na stację.

- Do pełna! - krzyknął do pracownika. Wysiadł na pokrytą rozgrzanym żwirem ziemię, wrzuciwszy uprzednio wolny bieg. Na myśl o gorących naleśnikach, szynce i parującej kawie do ust napłynęła mu ślina.

- Czy mogę go tu zostawić?

- Samochód? - Ubrany na biało pracownik odkręcił pokrywę baku i przystąpił do tankowania.

- O co panu chodzi?

- Niech pan go zatankuje i odstawi na bok. Za kilka minut wrócę. Chciałbym zjeść śniadanie.

- Śniadanie?

Douglas poczuł przyływ irytacji. O co temu człowiekowi chodziło? Wskazał ręką kawiarenkę. Kierowca ciężarówki otworzył wahadłowe drzwi i stał na schodkach, w zamyśleniu dłużej w zębach. Wewnątrz lokalu kelnerka krzątała się tam i z powrotem. Już czuł zapach kawy i smażonego boczku. Doleciał go cichy, metaliczny dźwięk szafy grającej. Ciepły, swojski odgłos.

- Kawiarenka.

Pracownik powoli odłożył wąż i z dziwnym wyrazem twarzy zwrócił się do Douglasa.

- Jaka kawiarenka? - zapytał.

Kawiarnia zafalowała i zniknęła. Douglas zdławił okrzyk zgrozy.

W miejscu lokalu znajdowała się obecnie pusta przestrzeń.

Brunatna trawa o zielonkawym odcieniu. Kilka zardzewiałych puszek. Butelki. Gruz.

Pochylony płot. I zarys gór w oddali.

Douglas opanował się z wysiłkiem.

- Jestem odrobinę zmęczony - wymamrotał. Chwiejnym krokiem podążył w stronę samochodu. - Ile płacę?

- Dopiero zacząłem napełniać...

- Proszę. - Douglas cisnął mu banknot. - Niech pan zejdzie z drogi.

- Uruchomił silnik i wyjechał na szosę, odprowadzany zdziwionym spojrzeniem pracownika stacji.

Niewiele brakowało. Naprawdę niewiele. Przyszykowali zasadzkę. A on omal w nią nie wpadł. Jednak największą trwogą nie napełniała go myśl o bliskości niebezpieczeństwa.

Wydostał się poza obręb gór, a oni wciąż wyprzedzali każde jego posunięcie. Jego ucieczka nie zdała się na nic. Nie był ani o włos bezpieczniejszy niż zeszłej nocy. Ich macki sięgały wszędzie. Samochód pędził autostradą. Zbliżał się do Denver - ale cóż z tego? Nie sprawi to najmniejszej różnicy. Mógłby wykopać sobie norę w Dolinie Śmierci, co i tak niewiele by dało. Ścigali go i nie mieli zamiaru dać za wygraną. To było jasne jak słońce. Desperacko szukał jakiejś możliwości. Musiał coś wymyślić, znaleźć drogę ucieczki.

Kultura pasożytnicza. Gatunek, który żerował na ludziach, wykorzystywał ludzką wiedzę i dokonania. Czyż nie tak brzmiały słowa Billa? Zależało im na jego wiadomościach, wyjątkowych zdolnościach oraz znajomości fizyki jądrowej. Wybrano go, wyłoniono spośród reszty z uwagi na jego nieprzeciętny talent i przygotowanie. Nie ustana w pogoni za nim, dopóki nie dopną celu. A co potem?

Owładnął nim strach. Sztaba złota. Przynęta. Postać dziewczyny posiadała wszelkie znamiona realności. Kawiarnia pełna ludzi. Nawet zapach jedzenia. Smażony boczek. Parująca kawa. Boże, gdyby tylko był zwyczajnym człowiekiem, pozbawionym szczególnych umiejętności. Gdyby tylko...

Rozległ się trzask. Samochodem szarpnęło. Douglas zaklął. Złapał gumę. Akurat teraz, akurat teraz.

Douglas zatrzymał samochód na poboczu. Wyłączył silnik i zaciągnął hamulec ręczny. Przez chwilę siedział w milczeniu. Wreszcie poszperał w kieszeni i wyciągnął pomietaną paczkę papierosów. Zapalił, po czym opuścił szybę, by wpuścić trochę świeżego powietrza.

Znalazł się w potrzasku, bez dwóch zdań. Nie mógł zrobić absolutnie nic. Przebita opona najwyraźniej również stanowiła część planu. Podrzucono coś tuż pod koła jego wozu. Pewnie gwoździe.

Autostrada świeciła pustką. W zasięgu wzroku nie było żadnego samochodu. Utknął sam gdzieś pomiędzy miastami. Do Denver pozostało trzydzieści mil. Nie miał szans, aby tam dotrzeć. Otaczały go jedynie przerażająco płaskie pola i opuszczone równiny.

Nic, tylko połączyć płaskiego gruntu i błękitne niebo nad głową.

Douglas popatrzył do góry. Nie widział ich, niemniej jednak czaili się tam, czekając, aż

wysiądzie z samochodu. Jego wiedza i talent zostaną wykorzystane przez obcą kulturę. Stanie się narzędziem w ich rękach. Przejmą nagromadzone przez niego wiadomości. Zostanie zepchnięty do roli niewolnika.

Jednakże w pewnym sensie czuł się wyróżniony. Spośród wszystkich ludzi wybór padł właśnie na niego. Jego umiejętności i wiedza wzięty górę nad wszystkim innym. Policzki zabarwił mu błądy rumieniec. Pewnie od jakiegoś czasu śledzili jego poczynania. Wielkie oko z pewnością często spoglądało w dół przez teleskop, mikroskop, czy cokolwiek to było. Rozpoznało jego talent i uświadomiło sobie korzyści, jakie przyniosłby on ich kulturze. Douglas otworzył drzwi. Wyszedł na rozgrzany asfalt. Wyrzucił papierosa i powoli przydeptał go nogą. Głęboko zaczerpnął tchu, przeciągnął się i ziewnął. Teraz zobaczył gwoździe, rozsiane na powierzchni jezdni okruchy światła. Powietrze uszło z obu przednich opon.

Coś zamigotało nad jego głową. Douglas czekał spokojnie. Teraz, kiedy nadeszła w końcu ta chwila, nie odczuwał strachu. Przyglądał się czymś w rodzaju ostrożnej ciekawości. Obiekt osiągał coraz większe rozmiary. Wirowali nad Douglasem, rosnąc i potężniejąc. Zawahali się przez chwilę, następnie opadł.

Kiedy olbrzymia kosmiczna siatka zamykała się wokół niego, Douglas stał bez ruchu. Włókna napięły się i sieć powędrowała z powrotem do góry. Zmierzali w stronę nieba. Lecz on przyjął to ze spokojem i bez strachu.

Czegóż miałby się bać? Przecież będzie wykonywał tę samą pracę co zawsze. Naturalnie, będzie tęsknił za Laurą i college'em, współpracownikami z branży, bystrymi twarzami studentów. Ale i tam, w górze, nie czeka go samotność. Spotka tam nowych współpracowników. Wyszkolone umysły, z którymi dojdzie do porozumienia.

Sieć coraz szybciej mknęła w górę. Ziemia pozostała daleko w dole. Z płaskiej powierzchni Ziemia stała się kulą. Douglas spoglądał na nią z zainteresowaniem naukowca. Nad sobą, pomiędzy misternymi splotami sieci, dostrzegał zarys innego wszechświata, nowego świata, ku któremu zmierzał.

Kształty. Dwa gigantyczne, skulone kształty. Dwie niewiarygodnie wielkie, pochylone sylwetki. Jedna z nich przyciągała do siebie sieć. Druga śledziła jej ruchy, trzymając w dłoni jakiś przedmiot. Krajobraz. Mgliste zarysy, zbyt duże jednak, by mógł w jakikolwiek sposób je określić.

Wreszcie, napłynęła myśl. Twarda sztuka.

Warto było, pomyślał drugi stwór.

Ich myśli przeniknęły go na wskroś. Potężne, pochodzące z ogromnych umysłów.

Miałem rację. Jak do tej pory największy. Co za zdobycz!

Swoje waży!

Nareszcie!

Spokój opuścił Douglasa jak ręką odjął. Poczul dreszcz zgrozy.

O czym oni mówili? Co mieli na myśli?

Naraz wyrzucono go z sieci. Poleciał w dół. Zbliżał się do płaskiej, lśniącej powierzchni. Co to mogło być?

Owładnęła nim zdumiewająca myśl, że wyglądało prawie jak patelnia.